

ŻYCIE NAUKOWE

INSTYTUT

Jerzy Jedlicki jest historykiem. Nie dziwne więc, że nawet gdy chciał napisać felieton współczesny, stworzył tekst historyczny. Jego Pałac („Res Publica” 1987, nr 5) — o Polskiej Akademii Nauk — jest już po prostu nieaktualny. Bowiem przez PAN idzie demokracja. Mało idzie. Ona galopuje. W Instytucie Historii, gdzie pracuję, dziś, 30 marca 1988 r., zrobiono nawet ogólne zebranie pracowników! Słyszane to rzeczy?!

Owo zebranie było bardzo odważnym posunięciem ze strony organizatorów. Wnoszę przynajmniej, że musiało być odważnym, skoro do zwolnienia go trzeba było pierestrojki z jednej, a listu iluś akademików i profesorów z drugiej strony. Doceniłem odwagę, ale nie powiem, bym był z przedsięwzięcia zadowolony. Fakt, iż nikt mnie nie pytał o radę co do spraw Instytutu, pozwalał mi na błogie branie pensji i niemyślenie o reszcie. Zawsze przyjemniej, gdy Dyrekcja martwi się o przeciekający dach niżbym ja miał lecieć podstawić miskę. Teraz natomiast już nie będę mógł mówić, iż nie współuczestniczę w rządzeniu, a więc i w podziale odpowiedzialności.

Ponieważ zabranie głosu rysowało się jako pierwszy wyraz poczuwania się do współodpowiedzialności, tym przyjemniejszy, że łatwy i mało pracy wymagający, zdecydowałem się przemówić. Tylko o czym tu mówić? Najpierw myślałem wypowiedzieć

się w sprawach materialnych warunków w naszej pracy. Przecież jesteśmy jedną z nielicznych chyba instytucji, gdzie normalne czynności zawodowe wykonuje się na własnym papierze, własnymi ołówkami i na własnych maszynach do pisania. Pomyślałem sobie jednak, że ktoś uzna, iż może skąpieć pieniędzy na ołówek i zrezygnowałem. Więc o płacach? Czyż jednak wypada mi, z moją astronomiczną profesorską pensją, skarżyć się na płace, gdy pomocnicy pracownicy naukowci są w o tyle gorszej sytuacji? Zdecydowałem się więc jedynie wezwać do starań o poprawę ich płac — co zrobiłem — ale kolejny błyskotliwy temat upadł. Więc może o bzdurach, od których się roi? Też nie było warto, gdyż patrząc — jak na historyka przystało — w długiej perspektywie czasowej trzeba uznać, iż na niektóre z nich nie ma siły. Jednocześnie większość z nich, z tych wszystkich list obecności, planów i sprawozdań, bardziej denerwuje niżby realnie przeszkadzała. Tylko trzeba się z nimi — jak z mrówkami faraona w nowych domach — nauczyć współżyć.

Przyszła mi więc w końcu myśl, by ułać trochę żółci nagromadzonej przez dwadzieścia lat pracy z powodu różnych spraw czy decyzji. Nie ma jej wiele, nie jest wyłącznym uczuciem nagromadzonym przez te lata, ale cudów nie ma — w każdej instytucji przez tyle lat by się nagromadziła. Znowu mnie jednak coś powstrzymało.

Na publicznym zebraniu załatwiać jakieś indywidualne, zwłaszcza własne sprawy? Pfe! I na kim się tu zresztą wyładowywać? Na Dyrekcji? Dopóki się jest od niej z daleka to się na niej koncentruje pioruny. Gdy się jednak znajdzie w tej samej sali, nagle człowiek sobie uświadamia, że to też ludzie. Jak się chwilę pogada, to okazuje się, że nawet podobnie myślący, a poza tym zawodowi koledzy. Zresztą Dyrekcja przecież też najczęściej chciała dobrze, powstrzymywała większe zło — bo przecież w Polsce wszyscy zawsze chcieli dobrze i powstrzymywali gorsze.

Jednocześnie miałem poczucie, że nadarza mi się rzecz wyjątkowa: druga w ciągu dwudziestu lat pracy okazja wpłynięcia w gwarantowany instytucjonalnie sposób na los mego Instytutu! Innych platform nie ma, a następna okazja może się zdarzyć za, statystycznie rzecz obliczając, następane dziesięć lat! Mam całe pięć minut, w uzasadnionych wypadkach rozszerzonych dzięki interwencji Dyrektora u przewodniczącej zebrania do dziesięciu!

Pomyślałem więc sobie, by — jak na historyka przystało — dać spokój przeszłości i zająć się perspektywami. Nie można w końcu międlić tego samego w kółko. Dwie rzeczy wprowadziły przeszkadzały w realizacji tego postanowienia: sprawa wyrzucenia swego czasu z pracy w Instytucie doc. Geremka i zarysowane przez Dyrekcję czarne perspektywy finansowe. W pierwszej nie pozostało mi nic innego jak ją podnieść, gdyż, w sytuacji gdy w Akademii nie postawiono Geremkowi żadnych zarzutów zawodowych, nie sposób przejść nad nią do porządku dziennego. (Mniejsza o inne ewentualne zarzuty — zebranie nie było powołane, by o nich dyskutować — aie w płaszczyźnie czysto zawodowej tej sprawy nie da się pominąć przy uzdrawianiu PAN. Nb. przy okazji nie

byłoby źle wymazać adnotacje z akt personalnych osób, które wówczas dały wyraz swemu odmiennemu od władz Akademii stanowisku w sprawie wyrzucenia Geremka).

Z drugą sprawą — czarnych perspektyw finansowych — było mi łatwiej się uporać. Wiadomo, iż gdy rysują się ogromne trudności bezpośrednie, myśl ucieka ku dalszym perspektywom. Tak samo uciekła i moja. Zaczęłem zastanawiać się, czym powinien „tak w ogóle” być instytut humanistyczny, w szczególności Instytut Historii PAN. Swego czasu nie ulegało to dla nikogo wątpliwości. Powstał, by wypracować nową wizję historii Polski. Niespecjalnie się z tego zadania wywiązał. Przez lata wyprodukował gniot straszliwy pod nazwą „Historia Polski”, który już przez sam fakt niekończącego się porodu nie mógł reprezentować jednolitej wykładni, jaka by nie była. Są oczywiście w tym dziele partie lepsze i gorsze, specjaliści sięgają do interesujących ich punktów, ale nie spotyka się obecnie chyba nikogo, kto by z tego dzieła korzystał czy to jako z wykładni, czy jako z podręcznika. Wywiązaawszy się zaś — lepiej czy gorzej — z tego pierwotnego zadania Instytut stracił oś integracyjną. Powstało w nim wiele dobrych prac, niekiedy może rzemieślniczo przyziemnych — bo przy wąskiej specjalizacji, w jaką popadają nie związani z dydaktyką ludzie z PAN traci się szersze perspektywy — ale powstało. Zasluga Instytutu jest w tym jednak tylko częściowa. Wykonywanie zawodu historyka jest swoistym hobby. Te prace powstawałyby w większości i bez Instytutu — jeżeli oczywiście ludzie mieliby za co żyć. W najlepszym wypadku rodzenie się owych prac było wspomóżone współpracą autorów między sobą w ramach chronologiczno-terytorialnych pracowni, na jakie Instytut jest podzielony.

W nich też powstały nieraz interesujące opracowania zbiorowe. Ponieważ jednak aktywność badawcza jest bądź indywidualna, bądź koncentruje się w pracowniach, Instytut w najlepszym wypadku rysuje się jako federacja pracowni (można by całość nazywać np. Federacją Pracowni im. Joachima Lelewela). Nie mogę się dopatrzeć w tym układzie korzyści, jakie powinny wynikać ze skupienia pod jednym dachem specjalistów od różnych epok chronologicznych i dziedzin różnych terenów, a takie właśnie korzyści winny uzasadniać skupienie owych specjalistów pod tym dachem.

Co mogłoby stanowić płaszczyznę integracyjne Instytutu, uzasadniać jego zbiorowe istnienie? W moim przekonaniu jest ich kilka.

Instytut powinien prowadzić działalność dydaktyczną. Dydaktyka integruje zespół i ożywia usypiająco puste korytarze, przeciwdziała rutynie i sklerozie. Obecne doktorantury są marnym surogatem aktywności nauczycielskiej. Powinna ona realizować się przez najpełniejszą fuzję z Instytutem Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego. Koledzy z Uniwersytetu są przeciążeni dydaktyką — u nas jest wiele osób gotowych ich wspomóc. Oni nie mają sal — my je mamy. Zakończenie właśnie teraz remontu naszego gmachu jest okolicznością korzystną: w końcu można by prowadzić zajęcia ze studentami w przyzwrotnych wnętrzach zamiast w ciasnych i zniszczonych salkach IH UW, których sam wygląd jest antydydaktyczny. Jeśli zaś jakiś student wyróżniłby się wyjątkiem na naszym stole „Kocham Zuzię” to i tak obecność Zuś podniosłaby estetykę siedziwi Instytutu.

O sprawie włączenia pracowników IH PAN do działalności dydaktycznej mówi się od dawna, jak o wszystkich zresztą sprawach w Polsce. Warto zwrócić uwagę, iż poza

krajami naszego obozu instytuty badawcze w humanistyce raczej ustępują miejsca fundacjom, tj. instytucjom po prostu finansującym badania, bądź — właśnie — formom łączącym badania i dydaktykę. U nas cały postęp w tej sprawie — jeśli jest — wynika z indywidualnych inicjatyw.

Instytut powinien kontynuować i rozwijać dziedzinę działalności, która także dotychczas jest jego bardzo mocną stroną: tworzenie materiałów wzbogacających warsztat historyka (bibliografie, *Polski słownik biograficzny*, prace z nauk pomocniczych historii, atlas historyczny). Zdarzały się i zdarzają wypadki, gdy takie pomoce naukowe powstają dzięki wysiłkom indywidualnym, ale nie ulega wątpliwości, że najwłaściwszym miejscem ich powstawania jest Instytut badawczy.

Instytut powinien tworzyć kompendia (podręczniki) specjalistyczne bądź przeznaczone dla szerszej publiczności. Celowo nie używam słowa „synteza”, gdyż to jest trudno zaplanować; nie powstają na zwołanie, a wielkie syntez historyczne na ogół były wynikiem indywidualnych natchnień i wizji. Natomiast kompendia można i warto robić — byle nie doprowadzić do aberracji przypominającej stan sprzed paru czy może już parunastu lat, gdy każdej pracowni kazano robić „syntezę” (bo tak to nazwano, choć częściej szło właśnie o kompendia), na zasadzie „befszyk raz”.

Instytut powinien zastanowić się nad tematami, które szłyby „w poprzek” pracowni zajmujących się określonymi epokami bądź historią określonych terenów („Człowiek wobec zdrowia i choroby”, „Człowiek wobec czasu i przestrzeni”, „Człowiek wobec środowiska naturalnego”, „Człowiek w poszukiwaniu bogactw naturalnych”, „Pojęcia wolności, postępu

i konserwatyizmu w różnych epokach i cywilizacjach”, „Socjologiczne cechy ruchów społecznych w różnych epokach” itd. Pewne kroki w kierunku takiego problemowego podejścia są nie od dziś w środowisku historyków polskich czynione. Z nich wyrosła np. czytelnikowska seria „Wielkie problemy dziejów człowieka”, niestety z tak małą częstotliwością się ukazująca. Problemowe podejście stosuje wspólna komisja Zarządów Głównych Polskiego Towarzystwa Socjologicznego i Polskiego Towarzystwa Historycznego. W samym Instytucie wyrazem podejścia przecinającego granice pracowni była konferencja „Czynniki kształtujące świat nowoczesno-współczesny” w 1987 r.

Z myślą o szerszym gronie czytelników Instytut powinien w moim przekonaniu zmierzać do powstawania prac, które nazwałbym studiami o, jeśli można sformułować tytuł wyżej przytoczony, „średnich problemach dziejów człowieka”. Winien móc, w rozsądnym z punktu widzenia zapotrzebowania społecznego czasie, zaoferować prace pozwalające zainteresowanym spojrzeć na kwestie, którymi akurat żyje społeczeństwo, w szerszej historycznej perspektywie (przykłady: „Inflacja dawniej i dziś”, „Kryzysy gospodarcze”, „Fale emigracyjne z Polski”, „Ideologie wolności w różnych kontekstach historycznych”, „Jak narody zbierały się do kupy, by wyjść z trudnego zakrętu?”).

Również z myślą o szerszym kręgu czytelników Instytut winien stać się inicjatorem i istotnym „intelektualnym udziałowcem” ogólnokulturalnego pisma z wyraźnym nachyleniem historycznym, jakby „Mówią Wieki” dla dorosłych. Pismo takie powinno podejmować zagadnienia historyczne, żywe w danym momencie dla społeczeństwa oraz problemy samego środowiska historyków. Zawodowe czasopisma historyczne mało kto czyta

poza historykami — a i oni raczej je tylko przeglądają, wynotowując artykuły z zakresu specjalizacji. Formuła tych czasopism wymaga ich studiowania, uniemożliwiająca czytanie dla bezinteresownej przyjemności.

Proponuję wszystkim powyższe nie wnioskuję kolejnej reorganizacji Instytutu, zwłaszcza takiej jak ostatnia, robionej bez pytania pracowników o opinię nawet w kwestii ich własnego organizacyjnego przydziału. Nie kwestionuję w żadnym wypadku indywidualnych prac badawczych, które z uwagi na specyfikę badań historycznych, zawsze, nawet wkomponowane w jakąś większą całość, pozostaną zasadniczą częścią działalności historyków. Nie kwestionuję niczego, co już jest w Instytucie robione. Proponuję wzbogacenie działalności o elementy, które, jak mi się zdaje, pozwoliłyby wyciągnąć większe korzyści z faktu, iż jesteśmy Instytutem. Chętnie widziałbym realizację nowych inicjatyw przez zespoły półformalne, pararelne do istniejącej struktury, grupujące się samorzutnie dla realizacji konkretnego programu.

Po powiedzeniu tego wszystkiego ogarnęły mnie obawy. Z doświadczenia wiem, że zgłaszający projekty są najczęściej karani propozycją pokierowania realizacją. Boję się, iż ktoś zasadnie powie, że proponować jest najłatwiej. Zdaję sobie sprawę, że młodemu — a w historii się jest młodym prawie do emerytury — nie wypada zgłaszać projektów za daleko idących. Mam jednak nadzieję, że jestem jeszcze nie tylko młody, ale także — wciąż — obiecujący. Chciałbym, by w momencie gdy definitywnie przestanę być młody, pozostały jakies rezultaty tego, że w młodości byłem — ponoć — obiecujący. Instytut może temu pomóc (bardziej lub mniej. Dotychczas pomagał płacąc pensję (co nie jest mało!) oraz specjalistycznymi dyskusjami przygotowywanych prze-

ze mnie prac. Znacznie mniej żywością życia naukowego, stwarzaniem pozytywnych bodźców do intensywniej-

szej, mądrzejszej i ciekawszej twórczości, rozszerzaniem perspektyw.

MARCIN KULA